



Marian Piasecki w Kowarach stworzył Park Miniatur Zabytków Dolnego Śląska, który bije kolejne rekordy frekwencji

Trafił w dziesiątkę

Wokół kryzys, zakłady padają, ludzie narzekają, prezesi pensji nie wypłacają, a w Parku Miniatur Zabytków Dolnego Śląska frekwencja rośnie o kilkadziesiąt procent rocznie. To miejsce odwiedza tyle ludzi, co świątynię Wang. Właściciel parku Marian Piasecki jednak dopiero się rozkręca.

Skąd sukces parku, położonego w tak fatalnym miejscu jak sąsiedztwo dużej fabryki? Miniatury, których jest już trzydzieści trzy, oczywiście warto obejrzeć, ale one są tylko „gołym” towarem.

Może dlatego park ma dobrą opinię, bo turysta nie czuje się tu, jak bankomat, z którego gospodarze chcą wyciągnąć tyle pieniędzy, ile się da? Bilet dla dorosłego kosztuje 13 złotych, ale dzieci o wzroście do metra wchodzi za darmo. Nie trzeba dopłacać za parking, toaletę, przewodników (opowiadają w sześciu językach) i fotografowanie.

13 złotych to mniej niż opłata za parking pod Kopą w Karpaczu.

- W ubiegłym roku odwiedziło nas 195 tysięcy turystów - opowiada Marian Piasecki z ukochanymi dwoma jamnikami na kolanach. - W tym roku jest znacznie lepiej - wzrost frekwencji wynosi od 40 do 70 procent! Pewnego dnia padł rekord - przyjechało do nas trzydzieści sześć autokarów. Dziennie mamy od tysiąca do trzech tysięcy gości. Zatrudniamy trzydzieści cztery osoby.

Park jest na otwartym powietrzu, ale to w niczym nie przeszkadza. Gdy leje, frekwencja bywa jeszcze wyższa. Goście nie mokną, obsługa wręcza im parasole.

- Proszę pamiętać, że statystyka odwiedzin naszego parku dotyczy siedmiu miesięcy, bo przez taki okres jest czynny - zastrzega właściciel. - Zimą poświęcamy na konserwację, załoga parku zmniejsza się do dwunastu osób. Proszę też zauważyć, że działamy uczciwie. Nie ma możliwości, by ktoś zapłacił za wstęp z pominięciem kasy fiskalnej.

Gdyby się Marian Piasecki uparł, to pewnie postawiłby halę, by miniatury mogły być pokazywane w zimie. Ma jednak inne priorytety.

- Zima to czas odpoczynku i podróży - tłumaczy z pasją w głosie. - Trzeba inwestować w siebie i swoje samozadowolenie.

Wypuścili złotą rybkę

Sukces rodził się w bólach. Marian Piasecki chciał urządzić park z miniaturami w Karpaczu, z którego pochodzi. Gdy miał tylko pomysł, poszedł z nim - jakieś osiem lat temu - do władz tego miasta. Prosił o teren przy ul. Parkowej - naprzeciwko kościoła, w pobliżu postoju taksówek. Radni go wysłuchali, porozmawiał z burmistrzem. Terenu jednak nie dostał. Nie ma pretensji.

- Traktowano mnie jak niepoprawnego marzyciela, hobbystę, który coś sobie wymyślił - wspomina z uśmiechem. - To miało być Tivoli Karpacza. Muzyka ogrodów, podświetlenia, lampiony...

- Chciał nie tylko teren, ale także, by miasto swoim kosztem wykonało ogrodzenie i alejki - komentuje burmistrz Karpacza Bogdan Malinowski. - Myślę, że dobrze się stało. Iż



L. KOSIOROWSKI

swoje zamiary zrealizował w Kowarach. Dla tego miasta to wielka atrakcja. Jesteśmy jednym regionem, ruch turystyczny powinien rozkładać się na różne miejsca.

Ówczesna przewodnicząca Rady Miasta Karpacza Violeta Derecznik zwraca uwagę, że w tamtym okresie Karpacz był w znacznie gorszej sytuacji finansowej niż dziś. Miasto było poważnie zadłużone. Trudno było sobie wyobrazić, by inwestowało w interes, który wydawał się bardzo niepewny.

Marian Piasecki, odprawiony z kwitkiem w Karpaczu, nie zraził się. Z pomocą finansową swojej mamy kupił teren obok kowarskiej dywanówki.

- Tak to wygląda: z budy zostałam w Kowarach - mówi.

Karpacz-Wrocław-Berlin

O teren przy Parkowej w Karpaczu starał się nieprzypadkowo. W pobliżu się wychował.

- Piaseccy to porządna, nauczycielska rodzina, bardzo szanowana w Karpaczu - mówi starosta jeleniogórski Jacek Włodyga z Karpacza, który poznał Mariana Piaseckiego w młodości. - Z czasem kontakt nam się urwał. On wyjechał na długo do Niemiec.

- Mój ojciec był architektem - opowiada właściciel miniatur. - Po podstawówce uczyłem się w Technikum Radiowym w Dzierżoniowie, a potem w Wyższej Oficerskiej Szkole Radiotechnicznej w Jeleniej Górze. Z powodów zdrowotnych musiałem przerwać w niej naukę. Potem studiowałem informatykę i cybernetykę we Wrocławiu. Poszedłem do pracy w Merze-Elwro.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych wyjechał do Berlina. Studiował na Uniwersytecie Technicznym. Stał się specjalistą techniki zabezpieczania reaktorów atomowych.

Dużo podróżował służbowo i prywatnie. Pięć razy Stany Zjednoczone, dwa razy Kanada, różne zakątki Europy. To, co zobaczył, jeśli chodzi o obsługę turystów, przydało się potem przy urządzaniu parku miniatur.

Czas na powrót

Miał swoje biuro inżynierskie w Berlinie i ukochaną Małgosię (są razem do dziś).

- Wylądowałem na twardej ziemi, z której można się odbić - wspomina. - Chodził mi po głowie powrót do korzeni. Chciałem go połączyć z moimi zainteresowaniami architekturą, ale i komercją.

Pomysłów mu nie brakowało. Decydujący okazał się któryś z trzynastych maja w Karpaczu. Rozmawiał z mamą o projekcie „Europy w miniaturze”. Zdał sobie sprawę, że całą Europę ma w swoim regionie.

- Wang dla Norwegów, Domki Tkaczy dla Czechów, schronisko Szwajcarka dla Szwajcarów, domy tyrolskie dla Austriaków, cerkiewka w Sokołowsku dla Rosjan, ratusz w Goerlitz dla Niemców, kościół garnizonowy dla Szwedów, bo wzorowany przecież na planie kościoła św. Katarzyny w Sztokholmie... - wylicza.

Wpadły mu też do ręki wyniki badań rynku turystycznego Sudetów. Wynikało z nich, że region ma wielki potencjał i bogate tradycje turystyczne. Taka ziemia obiecana, która czeka na swoich zdobywców.

Łatwo jednak nie było. Pierwsze pięć lat budowy miniatur i działalności parku to zaciskanie pasa. - Bez pożyczek i kredytów - podkreśla. - Nie mieliśmy z Małgosią nawet na podatek gruntowy. Miasto mogło przysłać tu syndyka...

Pomogli Kargule i dyrektorka

Przełomem był rok 2003 i zaproszenie do Lubomierza podczas festiwalu filmów komediowych. - To zasługa Olgierda Poniżnika. Rozkręcił nas medialnie - opowiada z wdzięcznością. - Mieliśmy wtedy osiem miniatur. Pokazaliśmy je. Były media, telewizja...

Miniatur z roku na rok przybywało. Nie dało się szybko zapełnić nimi parku, bo budowa modeli jest bardzo czasochłonna. Zabiera nawet kilka miesięcy.

Początkowo ludzie z zewnątrz oglądali je bezpłatnie. Gospodarz traktowany był nadal jak zapaleniec, który buduje sobie domki.

- Czułem lęk przed braniem pieniędzy - wspomina. - Przełomem

okazała się wizyta znajomej dyrektorki szpitala. Obejrzała miniatury. Dała mi dziesięć złotych. Powiedziała, że teraz już nie mam wyjścia: mam pobierać opłaty. Gdy obróciłem pierwszym milionem, zadzwoniłem do niej, żeby podziękować.

Turystów w parku przybywało w tempie oszalałym. 30 tysięcy w 2006, 70 tysięcy w 2007 i 195 tysięcy w ubiegłym. Hotele przywożą tu swoich gości, by zobaczyć wszystko w pigułce i zdecydowali, co chcą zobaczyć w oryginale. Park zresztą sam proponuje szlaki zwiedzania po Dolnym Śląsku.

Królowa Śnieżka

Gdy wybudował model ratusza w Goerlitz, Niemcy poprosili, by pokazał swoją pracę w Goerlitz. Przez siedem dni obejrzało ją 7 tysięcy ludzi.

- Dlaczego ratusz w Goerlitz? Bo moją małą ojczyznę jest wszystko, skąd widać Śnieżkę - tłumaczy. - Gdy wracam skądś, obojętnie z której strony świata, i widzę w oddali Śnieżkę, zaczynam się czuć u siebie!

Chce w miniaturze pokazać tyle swojej małej ojczyzny, ile się da. Dlatego zabiega, z pomocą władz Kowar, o teren sąsiadujący z parkiem. Gdyby udało się go pozyskać, byłoby wystarczająco wiele miejsca na pokazanie w miniaturach całego Dolnego Śląska.

To wielki projekt, ale Marian Piasecki podchodzi do niego jak wytrawny długodystanowiec - nie zaczyna zbyt szybko, ale trzyma za to przez cały czas równe tempo.

- Jest bardzo konsekwentny i uparcie dąży do celu, który sobie postawi - twierdzi burmistrz Kowar, Mirosław Górecki.

- Na Dolny Śląsk przyjeżdża rocznie około dwóch i pół miliona turystów, a do parku tylko dwieście tysięcy - mówi. - Jest co robić...

Leszek Kosiorowski